



*Zaskakująca i pyszna jak słony karmel,
zakręcona jak... warszawski stoik!*

Gwiazdeczka

MAJA JASZEWSKA



 editio

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Wydawnictwo HELION
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/sloicz>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-4813-4

Copyright © Maja Jaszewska 2019

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozdział 1.



Józia czuła, że za chwilę serce wyjdzie jej uszami, a kręgosłup złamie się na pół. Pożałowała pieniędzy na matę i teraz stopy ślizgały jej się po drewniej podłodze dusznej sali gimnastycznej.

Ćwicząca za nią korpulentna sześćdziesięciolatka stękała rozpaczliwie:

— O Jezu... O Matko Boska... Już nie dam rady...

Józia po raz kolejny zgięła kręgosłup w asanie psa, zastanawiając się, co też mogło spowodować, że jęcząca pani zdecydowała się na zajęcia jogi.

„Może córka ją namówiła? Albo synowa?” — pomyślała rozbawiona, wyobrażając sobie swoją mamę Krysię wygiętą w jakiejś jogińskiej pozycji.

Mama Krysia była okrągłutka jak tłustoczwartkowy pączek i pachniała wanilią. Ciagle coś gotowała, piekła i dusiła. Robiła najlepsze w Białkowej pierogi i jagodzianki. Choćby nie wiem jak wielką blachę upiekła, nigdy te złociste cuda ciężkie od jagód nie zdążyły wystygnać. Wszystko znikало w okamgnieniu, co do ostatniego okruszka. Mama Krysia miała swój tajemniczy patent, dzięki któremu jej jagodzianki nie miały sobie równych. Robiła je z dodatkiem sklarowanego masła, a kruszonkę przygotowywała z mielonych migdałów. Nigdy nie trzymała się przepisów i wiecznie eksperymentowała. Skarby z przydomowego ogródka i warzywniaka

zamieniała na prawdziwą poezję smaków. Przed nadejściem zimy sprytnie ukryta w ścianie kuchni spiżarka (jedno z licznych dzieł taty Rysia) zapełniała się konfiturami z jeżyn, musem z dyni o smaku cytrynowym, przecierem malinowym, cukinią w cynamonowym syropie, ucieranymi na surowo z cukrem płatkami róż, pigwą z dodatkiem pomarańczy i goździków i wieloma innymi słodczkami, w których mama Krysia zamykała najpiękniejsze zapachy i kolory lata i jesieni.

Zimą dokarmiała tym wszystkim całą rodzinę i gości, jakby nazajutrz groziła im śmierć głodowa. Wszystko było przepyszne, nic więc dziwnego, że Józia nie przypominała anorektycznie chudych modelek z okładek kolorowych magazynów. Jednak kiedy przyjechała do Warszawy, co stało się trzy miesiące temu, wzorem swoich koleżanek z pracy przeszła na drakońską dietę i pierwsze efekty już było widać. Ale ponieważ w biodrach i biuście wciąż pozostawały jej wyraźne krągłości, Józia ćwiczyła z gorącym zapalem, chociaż niezbyt chętnie.

Czerwiec od pierwszych dni był wyjątkowo upalny i trzeba było prawdziwego heroizmu, żeby zmusić się do fizycznego wysiłku.

Józia najchętniej położyłaby się w ogrodzie na leżaku i popijała ulubioną lemoniadę lawendowo-malinową. Tymczasem pilnie uczęszczała na jogę już drugi tydzień i jak na razie ledwo nadążała za poleceniami trenera. Wszyscy wokół ćwiczyli już w miarę sprawnie. Chłopak przed nią składał się jak scyzoryk, aż mu się trzęsły upięte w gruby węzeł dredy. Wysoki, szczupły i wyjątkowo zgrabny, wpadł Józki w oko już na pierwszych zajęciach. Miał piękne, inteligentnie patrzące, brązowe oczy i zawsze był wyprostowany jak struna.

Józka za każdym razem ustawiała się za nim, żeby nie widział jej pokracznych wygibasów.

Doskonale je za to widział prowadzący zajęcia Przemek. Co jakiś czas podchodził do wszystkich i poprawiał im ułożenie ciała.

Przy Józi stał najdłużej i poprawiał właściwie wszystko. Miała wrażenie, że za chwilę wyrwie jej barki z zawiasów.

„Mógłby pomęczyć tę stękającą starszą panią, a nie ciągle tkwić przy mnie” — pomyślała Józia ze złością.

Tymczasem Przemek wspierał panią jedynie dobrym słowem.

— Spokojnie, pomału, proszę się nie denerwować — mówił szeptem i szybko odchodził.

Zajęcia jogi były dla Józi sporym wydatkiem, ale namówiła ją na nie Julia — koleżanka z pracy, jedna z nielicznych życzliwych istot w całym tym znerwicowanym maglu.

— Zobaczysz, będziesz zachwycona! — przekonywała niezbyt chętną do ćwiczeń Józię. — Będziesz miała fantastyczną figurę, poczujesz, że jesteś panią swojego ciała, i wyciszysz się wewnętrznie.

Józia w zasadzie nie odnosiła wrażenia, że nad jej ciałem panuje ktoś inny, a i wewnątrz miała całkiem spokojne i harmonijne, ale ponieważ okazało się, że prawie cała redakcja ćwiczy jogę, nie chciała być gorsza i odstawać od reszty. I tak już była wystarczającym odmieńcem.

Nie dość, że pracowała w redakcji „Przemian” dopiero od trzech miesięcy, to jeszcze równie krótko mieszkała w Warszawie. Postanowiła więc jak najszybciej dopasować się, w miarę możliwości, do zespołu. „W końcu oni chyba wiedzą, co dobre” — pomyślała, zapisując się na zajęcia.

Szkoła jogi Przemka była znana na całą Warszawę. Ciekawe, na ile ze względu na same zajęcia, a na ile ze względu na wygląd ich prowadzącego. Wysoki, wyglądający jak wiking Przemek był absolutnie, do znudzenia wręcz, perfekcyjny w każdym fragmencie swojego wygimnastykowanego ciała, a do tego miał zniewalający, nonszalancki uśmiech.

„Właściwie to tak mógłby wyglądać Apollo” — pomyślała Józia, z ulgą przyjmując informację Przemka o końcu zajęć. Oczywiście wokół instruktora zaraz zgromadził się tłumek kobiet i dziewcząt,

dopytujących świergotliwie o ćwiczenia i inne niezmiernie ważne sprawy. Przemek organizował niebawem kilkudniowy wyjazd z jogą i żeńska część grupy była tym maksymalnie podekscytowana. Józia wykorzystała chwilowy zamęt i czmychnęła do szatni, żeby jak najszybciej się przebrać. Postanowiła zrobić sobie mały spacer i wrócić do domu pieszo. Miała do przejścia tylko jedną stację metra. Powoli zmierzchało i ciemność ukrywała różne niedostatki Mokotowa, ale było jeszcze na tyle jasno, żeby to, co ładne, nadal było widoczne.

„Śpiewają jak u nas” — pomyślała z rozczuleniem o świergotcie kołujących nisko jaskółek. Czyżby miało padać? Nie zanosilo się na to, chociaż powietrze było nieruchome po wyjątkowo gorącym dniu. Józia boleśnie zatęskniła za letnimi wieczorami w rodzinnej Białkowiej. Lubiała siadywać na ganku i obserwować, jak zmierzch zagarnia coraz większe przestrzenie. W nastającej szarości niczym setki maleńkich latarenek świeciły gęsto posadzone naokoło domu przez mamę Kysię kępy chabrowej lobelii i bladoróżowego niecierpka. Mama Krysia, miłośniczka kwiatów, obsadzała nimi każdy najmniejszy zakątek wokół domostwa, tak że budynek wylaniał się spośród kolorowej, spienionej kaskady jak statek spośród wzburzonych fal. Ledwo jedne kwietne kobierce przekwitły, a już pojawiały się nowe, i tak od wczesnej wiosny do późnej jesieni dom spowijały kolejne odsłony roślinnego bogactwa. Józia uwielbiała ten kwietny spektakl kolorów i zapachów, chociaż nie bardzo przykładała się do jego przygotowania. Codzienna, mozolna praca związana z sadzeniem, pielieniem i podlewaniem roślin była dla niej zbyt nużąca i, prawdę mówiąc, trochę monotonna. Ale niczym pszczołka nektar, spijała wszystko, co było w tym wielomiesięcznym widowisku najpiękniejsze. Teraz zatęskniła też za wieczornym gwarem rodzinnego domu. „Mama pewnie szykuje kolację... Może odsmaża ziemniaczki do zsiadłego mleka?” — pomyślała i aż jej się zrobiło słabo z głodu. Mleko, które od lat brali od pana

Mioduszewskiego, było słodkie i pachnące, pokryte grubą warstwą śmietany.

Józia z całych sił starała się zmienić tok myśli, ale wyobrażenie schłodzonego zsiadłego mleka i podsmażonych na złoto ziemniaczków szło za nią jak natrętne widmo. Nie odstępowało jej na krok. Tymczasem restrykcyjna dieta, którą przejęła od redakcyjnych koleżanek, nie akceptowała mleka ani jego pochodnych pod żadnym pozorem.

— Mleko to biała śmierć! — straszyla Julka. — Tak samo jak cukier, mąka czy sól. To trucizny, gorsze niż kokaina! Jeszcze bardziej uzależniają i szybciej zabijają! Musisz to wszystko wyeliminować ze swojej diety, jeśli chcesz dobrze wyglądać i dobrze się czuć!

Prawdę mówiąc, Julia, ze swoim wyszczuplonym do granic możliwości, bledziutkim (słońce zabija!) ciałkiem i z nerwowym, nigdy niemilkącym, apodyktycznym głosikiem, też nie wyglądała jak najzdrowszy egzemplarz homo sapiens. Twierdziła jednak, że odpowiednia dieta i joga ją wyciszają i zapewniają jej wspaniałą kondycję.

„Ciekawe, jak się zachowywała przed tą dietą, skoro teraz jest wyciszona” — zastanawiała się Józia, ale poza eksplozją bomby atomowej nic innego nie przychodziło jej na myśl.

W domu na kolację czekało na Józję jabłko. Postanowiła nie robić żadnych zapasów, żeby jej nie korciły. A że, jak powtarzała Julka, kolację należy oddać wrogowi, jabłko było dopuszczalnym kompromisem z tą bezwzględną zasadą.

„Jedno jabłko dziennie uchroni cię od chorób” — była to kolejna sentencja, których Julka miała na podorzędziu tysiące i którymi raczyła Józję od jej pierwszego dnia w redakcji. Ciekawe, że wszystkie, co do jednej, związane były z jedzeniem. I tak jabłka, do tej pory ulubione owoce Józii, które od dziecka zjadała ze smakiem, szczególnie te małe, jasnoczerwone, ze starej jabłonki zasadzonej

przed wielu laty przez dziadka, nagle stały się ratującym życie lekarstwem. Jedząc je, Józia wyobrażała sobie ich dobroczynne działanie i słodki miąższ nabierał smaku tektury. Myśl, że i dzisiejszy dzień zakończy takim posiłkiem, wywołała w jej ciele gwałtowne burczenie w brzuchu i stanowczy bunt.

„Po takim dwugodzinnym wyginaniu się należy mi się porządna kolacja” — usprawiedliwiła samą siebie, skręcając zamiast w prawo, do domu, w lewo, do osiedlowego sklepu.

Postanowiła zrobić porządne zakupy, ale wszystko w wersji *light*. Ten kompromis rozchmurzył ją trochę i tęsknota za domem od razu stała się mniej dojmująca.



Gromowładna od samego rana miotała się po redakcji, łomocząc obcasami i gasząc każdy przejaw radości morderczymi spojrzeniami, od których wszystko wokół lodowaciało. Redakcja struchlała, każdy siedział jak mysz pod miotłą, nawet nie marząc o takich ekscesach jak pójście do toalety czy zrobienie sobie kawy lub herbaty. Z redaktor naczelną nie było żartów. Ucichły wszystkie śmiechy i prywatne rozmówki. Na trzynastą zostało ogłoszone zebranie całej redakcji i każdy się zastanawiał, za co i jak wielki opieprz dostanie od szefowej. Bo co do tego, że każdemu się obezwie, nikt nie miał wątpliwości. A najbardziej dostanie się temu, kto tego dnia szczególnie mocno podpadnie — niewłaściwym pytaniem, nie dość szybką odpowiedzią albo nieodpowiednim ubraniem. Zbyt ładnym albo niewystarczająco dostosowanym do gustu Gromowładnej. To pierwsze psuło jej humor, bo nie lubiła konkurencji, to drugie, jak twierdziła, psuło *image* ich miesięcznika i drażniło zmysł estetyczny jego wyjątkowo wysublimowanej naczelnej.

„Przemiany” były jej ukochanym dzieckiem, innego zresztą nie miała, choć można było sądzić, że odchowala ich całe chma-

ry, kiedy na prawo i lewo opowiadała o najlepszych metodach wychowawczych. Jej pasją była ludzka psychika i przeczytała chyba wszystkie dostępne poradniki na ten temat. Na każdą życiową sytuację i każdy problem miała gotowe definicje i recepty. Wszystkich wokół diagnozowała w ułamku sekundy i z ogromnym zaangażowaniem udzielała każdemu wskazówek.

Józia już pierwszego dnia usłyszała o sobie, że ma zaniżoną samoocenę, brak jej pewności siebie, powinna bardziej otworzyć się na ludzi i zerwać pępowinę łączącą ją z rodzinnym domem. Skąd ta bogata w szczegóły opinia — nie miała pojęcia. Zdążyła się bowiem jedynie przedstawić, powiedzieć, iż bardzo się cieszy, że może robić redakcję i korektę tekstów dla „Przemian”, i że w ubiegłym roku skończyła polonistykę w Białymstoku. Ale widocznie Gromowładna miała jakiś nadprzyrodzony dar jasnowidzenia. Zresztą od tamtej pierwszej rozmowy, rekrutacyjnej zresztą, nie zaszczyliła Józii ani jednym spojrzeniem. Nawet na „dzień dobry” nie odpowiadała, tylko z nieobecnym wzrokiem od niechcenia kiwała głową.

Józia bardzo się cieszyła ze swojej pracy i wiele sobie po niej obiecywała. Marzyła co prawda o pisaniu książek, ale od czegoś trzeba zacząć. A poprawianie tekstów innych autorów uważała za bardzo dobrą wprawkę do samodzielnej twórczości. Dostała tę fuchę dzięki swojej ciotce, uznanej redaktorce w jednym z dużych wydawnictw. Ciotka Baśka dobrze się znała z redaktorkami „Przemian” i kiedy się dowiedziała, że potrzebna im fachowa siła korektorska, zarekomendowała swoją siostrzenicę. Z czystym sumieniem, bo wiedziała, że Józia jest nie tylko zdolna, ale także solidna. Napisała ciekawą pracę magisterską na temat barokowych motywów w twórczości Bolesława Leśmiana i zdążyła już opublikować w białostockiej gazecie internetowej dwa wiersze i udany minireportaż o szeptuchach.

Rekomendacja ciotki dotycząca polonistycznych umiejętności Józi w pełni się potwierdziła. Jednak zrozumienie polityki redakcyjnej przychodziło dziewczynie z trudem.

— Nie wystarczy, że tekst jest mądry i dobrze napisany. On ma być przede wszystkim efektowny! — denerwowała się Betty, sekretarz redakcji, kiedy Józia jej zdaniem zbyt mało ingerowała w jeden z poprawianych tekstów. — Zrozum wreszcie, dziewczyno, że kiedy poprawiasz tekst, masz mieć przed oczami naszą czytelnickę! — klarowała niecierpliwie, po czym nagle spytała: — Szyłaś kiedyś sukienkę?

— Nie... — Józia zacukała się w związku z gwałtowną zmianą tematu. — Ale moja babcia ślicznie szyje — dodała po chwili, sądząc, że Betty szuka dobrej krawcowej.

— No! To chyba wiesz, że nie szyje się nikomu najpiękniejszej nawet kiecki w rozmiarze i fasonie, które są dla niego nieodpowiednie! Jeśli przyjdzie kobieta z biodrami jak balia, to dobra krawcowa nie proponuje jej marszczoną spódnicę! Uszyje taką, żeby jej maskowała tyłek! I my jesteśmy takimi krawcowymi, tyle że w trochę innej materii. Musimy kroić wedle rozmiaru.

— A skąd wiemy, jakie tyłki mają nasze czytelniczki? — zainteresowała się Józia.

— Z badań rynku, dziecko! A one mówią, że czyta nas 30 – 35-latka, która mieszka w dużym i średnim mieście. Ma średnie wykształcenie, jest zmęczona stagnacją, która wkradła się do jej życia, i marzy o zmianie pracy, otoczenia, a nieraz także partnera.

Józia zauważyła, że zarówno w redakcji, jak i w artykułach „Przemian” jak ognia unika się słów „mąż”, „żona”, „małżeństwo”.

— I my jej te zmiany w życiu fundujemy! — klarowała dalej Betty. — Dlatego tekst musi się kończyć pozytywnie i inspirująco. Musi zawierać kilka prostych wskazówek, które chcemy przekazać, i każda z nich musi być trzy razy powtórzona, aby się wbiła w pamięć. Przekaz musi być jednoznaczny, nie może się stać

przedmiotem rozważań ani budzić wątpliwości. No i najważniejsze: żadnych trudnych słów! Nie wolno czytelniczki stresować i wytykać jej, że czegoś nie rozumie! To dziennikarska zbrodnia! Zapamiętaj to sobie! Motywować, zachęcać, życzliwie radzić i doprowadzić, że wszystko jest możliwe — to jest nasze zadanie — tłumaczyła Betty z fanatycznym uniesieniem.

— Nawet jeśli nie jest to możliwe? — powątpiewała Józia.

— U nas wszystko jest możliwe! Na tym polega potęga pozytywnego myślenia. Im prędzej to zrozumiesz, tym lepiej dla ciebie, moja droga — przekonywała Betty, z dezaprobatą kręcąc głową pełną rudych loków, podtrzymanych wzorzystą opaską.

Józia polubiła Betty od momentu, kiedy pewnego dnia po pracy poszły na długi spacer. Okazało się, że Betty jest zabawna i wesoła. Zwierzyła się Józii, że właśnie rozstała się z kolejnym facetem, ale żadna to w sumie nowość, bo samiec, jak świat światem, kobiety nie rozumie.

— Oni są z innej planety. Chociaż ten banał, że pochodzą z Marsa, już dawno okazał się blefem — tłumaczyła, zającąc pistacjowe lody, które sobie po drodze kupiły. — Gdyby byli z Marsa, to przynajmniej umieliby walczyć! A z nich tacy wojownicy jak z koziej dupy trąba. Ich jedynym celem jest przetrwać! Ale, broń Boże, się przy tym nie zmęczyć! Żaden z nich nie był w stanie zrozumieć, co do niego mówię! — gorączkowała się Betty.

Opowiedziała Józii w ten wieczór wiele swoich perypetii z męskim gatunkiem, nierozumiejącym, że współczesna kobieta nie jest już niewolnicą przywiązaną do domu i dzieci, tylko wolnym i barwnym motylem, który może polecieć, gdzie zechce. A jeśli mężczyzna chce za kobietą nadążyć, musi być nie tylko dzielnym wojownikiem, ale też odkryć w sobie kobiecą naturę i nauczyć się wreszcie być empatycznym wrażliwcem. Jak dokonać tego cudu połączenia przeciwieństw, Betty już nie wyjaśniła. Zakończyła swój wywód konkluzją, że najwidoczniej epoka mężczyzn

minęła i że im szybciej się z tym oni pogodzą, tym lepiej. Nie sprawiała jednak wrażenia załamanej tym faktem, bo zaraz dodała, że nie wie, co zrobić z nadchodzącym wieczorem, gdyż przez pomyłkę przyjęła dwa zaproszenia — jedno do kina, a drugie na kolację. Oczywiście od dwóch różnych nienadążających za rzeczywistością samców.

„Widać ma duże powodzenie pomimo swojego sceptycznego nastawienia do mężczyzn. Nic dziwnego, niektórym to Pan Bóg sprzyja” — myślała z rezygnacją, ale i z sympatią Józia, przyglądając się Betty. Była niezbyt wysoka, lecz bardzo zgrabna i poruszała się z dużym wdziękiem. Tycjanowskie, gęste loki opadały jej miękkimi falami na kształtne ramiona i pięknie kontrastowały z jej krystalicznie zielonymi, wielkimi oczami, nadającymi jej spojrzenie zdziwionego dziecka. Zdaniem Józia w redakcji Betty dużo traciła ze swojego uroku, robiła się nienaturalna i nawet jej uroczy uśmiech nabierał jakiegoś fałszywego wyrazu.

„Ciekawe, czy każdy z redakcji tak bardzo zyskuje po pracy jak Betty” — zastanawiała się nieraz Józia, idąc w swoich fantazjach na tyle daleko, że nawet Gromowładnej była w stanie przypisać ludzkie cechy. Ale dzisiejsze zachowanie naczelnej z pewnością nie pomagało w snuciu tych śmiałych przypuszczeń. Do trzynastej zostały jeszcze dwie godziny, a wydawało się, że siedziba redakcji nie jest już w stanie pomieścić więcej gniewnego milczenia szefowej, przerywanego jedynie impetycznym otwieraniem i zamykaniem drzwi oraz coraz głośniejszym stukotem obcasów. Wiadomo było, że będzie tak szalała do czasu rozpoczęcia zebrania, ale z sobie tylko wiadomych przyczyn nie przyspieszy go, jakby chciała, żeby napięcie sięgnęło zenitu.



— Kobieta, która nie dba nieustannie o własny rozwój, z czasem zaczyna się zamieniać w ropuchę skrzeczącą na środku mulistego,

nieruchomego bajora! — klarowała Gromowładna redaktorkom. — Naszym obowiązkiem jest pomóc czytelniczkom uwierzyć w siebie i zmobilizować je do zapoczątkowania radykalnych zmian w swoim życiu — ciągnęła z zapalem. — Precz z marazmem i rezygnacją! Chyba wciąż nie zdajecie sobie sprawy, jaką misję mamy do spełnienia! To nie są żarty! Trzeba maksymalnie zmobilizować kreatywność, a tymczasem wy wciąż proponujecie mi jakieś sztampowe tematy, w dodatku banalnie opisane! Wrześniowy numer ma być rewolucyjny, bo wiele kobiet po wakacjach czuje przyływ sił!

Taką przemowę Gromowładna wygłaszała kilka razy w roku: przed Wielkanocą, z racji budzącej się do życia przyrody, przed wakacjami, na cześć chwilowego uwolnienia się od codziennych obowiązków, przed rozpoczęciem roku szkolnego i przed świętami Bożego Narodzenia, bo to doskonały czas na rozprawienie się ze zniewalającą wszystkich duchotą przestarzałych tradycji. Zdaniem naczelnej nie było w życiu ważniejszej rzeczy od potrzeby ciągłej zmiany. Podkreślała to za każdym razem, pisząc wstęp do kolejnego numeru „Przemian”.

Józia przyglądała się dyskretnie wszystkim redaktorkom. Najpierw w nabożnym milczeniu wysłuchały połajanek Gromowładnej, a potem nieśmiało zaczęły proponować różne tematy do artykułów. Najbardziej odważna była Pola, pisząca artykuły na temat seksu. Zupełnie nie przejęła się burzową aurą, jaką zapanowała po przemówieniu Gromowładnej. Ba, niemal weszła naczelnej w słowo, z rozmachem rozpoczynając swoją opowieść:

— Najgorsze jest to, że kobiety bardzo często same blokują własną spontaniczność. Niedawno prowadziłam wieczór autorski poświęcony wspaniałej książce o tym, jak przełamywać tabu w sypialni. Nie mogliśmy z autorką w żaden sposób wytłumaczyć słuchającym nas kobietom, że ich seksualności nie mogą krępować żadne idiotyczne ograniczenia. Nawet im opowiedziałam

o mojej przeżabawnej przygodzie, kiedy patrol policyjny złapał mnie i mojego chłopaka na szaleństwach w lesie. A ponieważ miałam na sobie bieliznę z sex shopu, panowie mundurowi myśleli przez moment, że przylapali na gorącym uczynku panienkę z agencji. Śmiałam się potem z tego przez kilka dni. Dzięki takim przygodom jest co wspominać i nie popada się w rutynę — zakończyła Pola, z impetem zakładając nogę na nogę. Siedziała na samym brzeżku krzesła, wygięta we wdzięcznej pozie eksponującej jej szczupłe łydki i złote kłapeczki na niebotycznie wysokim koturnie. Karminowe paznokcie u stóp doskonale harmonizowały z ciemnoczerwoną sukienką. Mocno rozkloszowana i obcisła w pasie kreacja podkreślała dziewczęcą figurę Poli, choć sama Pola dziewczęciem dawno już nie była. Na pierwszy rzut oka wyglądała bardzo młodo i zachowywała się jak rozbrykana nastolatka. Śmiała się dużo i często, potrząsając przy tym wysoko upiętym blond kucykiem. Chętnie demonstrowała swój brak pruderii, opowiadając o ciekawych nowinkach na rynku seksualnych gadżetów i swoich ekscytujących przygodach z kolejnymi chłopakami. Z bliska można było jednak dostrzec, że twarz Poli wcale nie jest już taka młoda, a wokół jej okrągłych jak koraliki, błękitnych oczu rozchodzą się wachlarzyki drobniutkich zmarszczek.

Józia z wielkim zaciekawieniem słuchała słów znawczyni seksu, która ciągnęła z werwą:

— Skoro numer wyjdzie z początkiem roku szkolnego, zaproszę nasze do czytelniczki do Akademii Seksualnej! Najpierw powiem im, co mają zgromadzić w swoich sypialniach, jakie podręczniki i przedmioty, a potem zaproponuję kilka fascynujących ćwiczeń! Do artykułu dołączymy kwestionariusz, który czytelniczki wypełnią dwa razy: po lekturze artykułu i miesiąc później. Dzięki temu będą miały motywację do nauki i eksperymentowania. Dla trzech czytelniczek, które w najciekawszy sposób opiszą nam swoje postępy, będą nagrody! Gadżety seksualne!

— Wspaniały pomysł! — Gromowładna aż pokraśniała z radości. — Widzę, Polinko, że doskonale rozumiesz, o co mi chodzi! Właśnie o takie oryginalne podejście do tematu. Liczę na waszą inwencję, dziewczyny. Wracajcie do pracy, a za dwie godziny chcę zobaczyć wasze wystrzałowe propozycje. Chcę mieć coś wyjątkowego na temat relacji partnerskich, kuchni, urządzania domu i wychowania dzieci, no i dobry, mocny artykuł do działu „Moja wewnętrzna przemiana”. Seksualne porady mamy już ogarnięte, dział mody też nas pewnie mile zaskoczy, prawda, Lauro? — mówiąc to, Gromowładna odwróciła się w stronę wysokiej jak tyczka stylistki, okutanej w coś czarnego, podobnego do szaty pątnika.

Gieźło sięgało jej prawie do kostek, skutecznie ukrywając jakiegokolwiek szczegóły ciała. Można się było jedynie domyslać, że jest ono radykalnie i bezkompromisowo chude. Dziewczyna miała wygolone boki głowy, a przez środek zaczesane do tyłu długie do połowy pleców, cienkie warkoczki. Miała płaską, bladą, mocno upudrowaną twarz i maleńki, kształtny nos. Lekko skośne, małe, czarne oczy obrysowała jaskraworóżową kredką. Takim samym, tylko ciut jaśniejszym cieniem miała pomalowane powieki, aż pod same brwi, których grube łuki nadawały jej twarzy gniewny wyraz, jak u rozsierzonego samuraja. W jej uszach kołysały się wielkie kolczyki — duże, bordowe kamienie zamotane w szary sznurek. Słuchała z ledwo maskowanym znudzeniem, od niechcenia postukując stopami w bordowych martensach. Pytanie Gromowładnej ożywiło ją na moment.

— Będzie nowatorska stylizacja, w której pokażemy z Lukiem, jak kreatywnie potraktować oklepaną białą bluzkę. Różne fantazje na jej temat: do szkoły, pracy, na rower, na przyjęcie, a nawet na wyjście do klubu. Ta sama rzecz, ale drobnymi trikami radykalnie odmieniana. Do tego moja autorska biżuteria z drutu i ze sznurka, która również może być noszona na wszystkie okazje. W zależności od potrzeby bransoletka może się stać gumką do

włosów, a kolczyki — wisiorkiem. Nie dość, że szalenie praktyczne, to jeszcze przełamujące wszystkie trendy obowiązujące w jubilerstwie. Spójrzcie na to! — Laura zanurzyła się prawie po łopatki w swój wielki, czarny worek, by po chwili wychynąć z niego i z triumfalną miną położyć na stole coś, co było zrobione z cienkich miedzianych drucików i kształtem przypominało pajęczynę zawieszoną na długim sznurku. — Mój najnowszy wisior — oznajmiła z dumą. Z piersi zgromadzonych kobiet wyrwał się chóralny odgłos aplauzu. Zachwytom nie było końca. Wisior przechodził z rąk do rąk, oglądany z nabożnym skupieniem. Gromowa była rozanielona.

— Lauro, kocie kochany, koniecznie, ale to koniecznie musisz zrobić całą kolekcję i ubrać nas w te cuda na najbliższą imprezę „Gwiazda Przemiany”.

— Nie ma problemu — odparła Laura i obrzuciła zebrane w sali kobiety uważnym spojrzeniem spod ciężkich powiek, jakby w twarzach koleżanek szukała inspiracji do swoich dzieł.

— Kochana, dla mnie koniecznie kolczyki, pliss. — Pola aż pokraśniała z ekscytacji. — Kocham twój nowatorski, pełen ekspresji styl. Jest taki zmysłowy.

Chwilę trwał papuzi rejwach, bo redaktorki jedna przez drugą zaczęły krzyżeć, co która by chciała i jak bardzo marzy o założeniu na siebie owocu twórczej pracy Laury. Ta w milczeniu słuchała, szkicując coś w swoim notatniku. Wreszcie zamknęła go z impetem i oznajmiła:

— Zdajcie się na mnie, wiem, czego która z was potrzebuje. A teraz muszę już iść, bo czeka na mnie Luk. Musimy zrobić burzę mózgów. Ja widzę wrześniową okładkę „Przemian” w fiolecie, a jemu chodzi po głowie burgund. Od trzech dni się kłócimy, bo przecież burgund dominował w *haute couture* w ubiegłym roku, więc okładka w tej tonacji będzie kompletnie *passé*. Ale

on się uparł, bo Malina jest w tonacji burgundowej, a on chce właśnie tam zrobić okładkową sesję fotograficzną.

Józia już kilka razy słyszała o Malinie — nowej i najmłodniejszej w tym sezonie knajpcie, którą założyły trzy aktorki. Cały jej wystrój, a nawet menu dobierano pod kątem kolorystycznym — od rozjaśnionej maliny po ciemny burgund. Knajpka wzbudzała euforyczne zachwyty kolorystyką i posiłkami przygotowywanymi wedle zasad kuchni pięciu przemian. Na dodatek dość często pojawiały się w niej właścicielki, więc można było liczyć na spotkanie z gwiazdami znanymi wszystkim z popularnego serialu *Sexi.wwa*. Józia nie dotarła jeszcze w to miejsce, chociaż Julka nieraz już się odgrażała, że koniecznie musi ją tam zabrać.

Gromowładna z zatroskana miną słuchała o sporze Laury z Lukiem. Po chwili w jej oczach pojawił się błysk ekscytacji.

„Wygląda jak pomysłowy Dobromir, któremu wpadło do głowy genialne rozwiązanie” — uśmiechnęła się w duchu Józia. Kiedy była mała, oglądała tę bajkę, a potem sama z przeróżnych rzeczy kleiła techniczne cuda. Kiedyś z patyków, papieru i taśmy klejącej zrobiła sobie motor i prosiła tatę, żeby na noc zamykał go w garażu.

— Lauro, skarbie, może zrobimy takie miękkie przejście od wrzosu do burgundu? Albo w tonacji wrzosu niech pojawi się kropka burgundu, wiesz, jak w *yin-yang*. Harmonia, dopełnienie! Przemiana jednego stanu w drugi! Zaproszenie do wglądu w siebie, aby móc pójść dalej. A jednocześnie zaproszenie do zatrzymania się, aby poznać samego siebie i odnaleźć swoje powołanie! — Usta Gromowładnej wyrzucały słowa z szybkością karabinu maszynowego. Jej oczy błyszczały uniesieniem. Twarz się rozpuściła.

Laura słuchała w skupieniu, tylko jej brwi unosiły się coraz wyżej.

— Wspaniały pomysł — podsumowała krótko, ale z pełnym uznaniem. — Tak zrobimy. Lecę powiedzieć Lukowi.

Gromowładna popatrzyła z uśmiechem na redaktorki, a te odpowiedziały jej, kiwając głowami z podziwem. I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki jedna przez drugą zaczęły przerzucać się pomysłami:

— Napiszę, jak oczyścić związek z toksyn zazdrości i symbiotycznej bliskości.

— Jedzenie nie musi być twoim wrogiem.

— Twoje mieszkanie poligonem doświadczalnym dla stylizacji.

— Więzienie schematów!

— Podążaj za pragnieniami!

— Wolna od nawyków żywieniowych.

— Trójkąty nie są takie złe, jak je malują!

— Z gadżetem seksualnym za pan brat!

Zza wielkiego, owalnego stołu padały kolejne propozycje, a atmosfera zrobiła się gorąca. Nie został już żaden ślad po mroźnych spojrzeniach Gromowładnej, która słuchała, notowała i uśmiechała się z wyraźnym zadowoleniem.

— O to mi chodziło, dziewczyny, wreszcie się rozkręciłyście. To lubię. Musicie być zawsze takie kreatywne, otwarte na wewnętrzne impulsy. Nie pozwólcie, aby cokolwiek blokowało wasze myślenie. Musicie wciąż poszukiwać. Teraz, moje kochane, wracajcie do siebie, róbcie konspekty waszych pomysłów i szybko mi je wysyłajcie. I proszę, żebyście nie zapominały o grudniowym numerze „Przemian”. To będzie prawdziwe wyzwanie, bo zmierzmy się z wszelkimi stereotypami. Mam nadzieję, że macie już jakieś rewolucyjne pomysły, które wprowadzą zupełnie nową jakość do świątecznych domów naszych czytelniczek. Liczę na was i nie chciałabym się zawieść — oznajmiła Gromowładna, po czym niespodziewanie zwróciła się do Józki: — Dżozi, jak się czujesz? Podoba ci się to, co robimy?

Józka nie przywykła jeszcze do tego, że w redakcji wszyscy na nią mówią „Dżozi”, więc czasami nie od razu reagowała na swoje nowe imię. W domu była Józefiną albo Józią, bo tata, wielki

pasjonat Napoleona Bonapartego, wyprosił od mamy Krysi zgodę na to niecodzienne imię dla córki, twierdząc, że żona cesarza była kobietą niezwykle barwną, silnego charakteru, przebojową i nietuzinkową. I że takimi cechami mogłaby się podzielić z ich małą Józefinką.

— Myślę, że to wszystko jest bardzo ciekawe — odparła Józia w końcu. Bycie w centrum uwagi zebranych redaktorek peszyło ją nieco. Była zafascynowana tym, że osoby znane jej wcześniej z gazet czy ekranu telewizora znajdowały się nagle na wyciągnięcie ręki. Redagowała wywiady ze znanymi piosenkarkami, z aktorkami i ze stylistkami goszczącymi w telewizjach śniadaniowych, z psychologami udzielającymi porad w różnych magazynach i poradnikach. Ocierała się o świat medialnych autorytetów i bardzo się cieszyła ze swojej pracy.

— Słuchaj zatem uważnie i ucz się, moja droga Dżozi, wyzwolonego myślenia. My z kolei, moje kochane, możemy się uczyć od Dżozi odwagi. Zerwała z całym dotychczasowym życiem, ze swoimi przyzwyczajeniami, aby wyruszyć w fascynującą podróż mentalną. Mogła zostać w domu, ale zrozumiała, że wtedy nigdy by się nie rozwinęła, bo nawet najmilszy dom rodzinny jest jak balast, który uniemożliwia nam rozwój. Musimy zerwać tę więź, która pod przykrywką bliskości ukrywa toksyczną symbiozę, i ruszyć w świat, by zdobywać własne szczyty. Dżozi miała tę odwagę i dzięki temu zajdzie wysoko. — Gromowładna obdarzyła Józję niemal czułym uśmiechem.

Józia wyobraziła sobie mamę Krysię, tatę Rysia, babcię Amelię, przypomniała sobie przyjaciółki, wśród nich ukochaną Bożenę, i jej wesołych, miłych rodziców, starego sąsiada Pociējuka, który lubił zimą pociągnąć z buteleczki swojej wspaniałej nalewki na ulęgałkach i wyśpiewywał wtedy na pół Białkowej fantazyjne żurawiejki. Wspomniała całą galerię postaci, wśród których upłynęło jej dzieciństwo, i jakoś nie mogła zrozumieć, dlaczego ci ludzie mieliby być balastem w jej życiu. Zrobiło się Józii smutno, że Gro-

mowładna tak bezpardonowo opisuje rzeczywistość, o której tak naprawdę nic nie wie. Odpowiedziała więc z lekkim wahaniem:

— Może nie każdy dom rodzinny jest balastem...

— Widać, że jesteś dopiero na początku ścieżki wiodącej ku wyzwoleniu — skwitowała Gromowładna krótko. — Jeszcze długa droga przed tobą, dziewczyno, ale najważniejsze, że już ją rozpoczęłaś. A teraz dość gadania, do roboty!

Redaktorki, szurając krzesłami, zerwały się jak na komendę i szybko ruszyły do swoich laptopów. Została tylko Pola, która miała do Gromowładnej jakąś prywatną sprawę. Józia wyszła ostatnia, zamykając za sobą cicho drzwi, zza których dolatywał perlisty chichot Poli i basowy śmiech Gromowładnej.



Spis treści



Rozdział 1.	3
Rozdział 2.	21
Rozdział 3.	47
Rozdział 4.	75
Rozdział 5.	105
Rozdział 6.	125
Rozdział 7.	141
Rozdział 8.	149

Gwiazdkowy prezent od bohaterów książki

PRZEPISY

☆ Smażone kwiaty cukinii	161
☆ Sałatka z kwiatami nasturcji	163
☆ Szarlotka mamy Krysi	165
☆ Jesienna sałatka z cykorii, ogórka kiszzonego i jabłka	168

Spis treści

☆ Nalewka wiśniowa	170
☆ Nalewka na ulęgalkach	172
☆ Papryka nadziewana pieczarkami, cebulą, ryżem i cukinią	174
☆ Konfitura z płatków róż	176
☆ Lemoniada malinowo-lawendowa	178
☆ Jagodzianki mamy Krysi	180
☆ Cukinia w syropie cynamonowym	183
☆ Prowansalskie wariacje z kaszą gryczaną	185
☆ Frytki z pasternaku	187



PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Upalne warszawskie lato. W redakcji magazynu psychologicznego dla kobiet „Przemiany” trwają już przygotowania do wydania grudniowego, świątecznego numeru.

Józia, młoda dziewczyna z Białkowej, stawiająca pierwsze kroki w korporacyjnej dżungli, z zapałem, ale i z ukrytym powątpiewaniem wprowadza w życie wszystkie rady swoich redakcyjnych koleżanek. Chodzi na jogę, choć tego nie lubi, stosuje dietę cud, mimo że bardzo tęskni za swoją kuchnią swojej mamy i babci. Stara się sprostać wymogom otoczenia, jednak w oczach koleżanek nadal pozostaje szarą myszką z Podlasia.

Wszystko się zmienia, gdy naczelna magazynu — Gromowładna — zleca jej wywiad z Jackiem Sobiepańskim, znanym coachem i felietonistą magazynu, a do tego zarozumiałym snobem. Józia wpada jak śliwka w kompot.

Pod wpływem Jacka i za jego radami w ciągu kilku miesięcy zmienia się z prowincjonalnego Kopciuszka w Dżozi — gwiazdę na miarę stolicy.

Ich związek nabiera rozpędu. Czy Józia zupełnie straci dla Jacka głowę, zapomni o swoim dawnym zwyczajnym życiu i Michale, z którym zwiedzała kiedyś Warszawę śladem kultowych polskich filmów?

Poznaj zaskakujący finał tej przepełnionej humorem komedii romantyczno-satyrycznej!

**KSIAŻKA WZBOGAĆONA O MAŁY DZIAŁ KULINARNY.
CIEKAWÉ POTRAWY Z DEDYKACJĄ OD BOHATERÓW.**

Patroni medialni:

**{ opętani
czytaniem }**

**LUBIĘ
CZYTAĆ**

editio



**Księgarnia internetowa:
<http://editio.pl>**



**Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900**



0 601 339900

Sprawdź najnowsze promocje:

- <http://editio.pl/promocje>
- Książki najchętniej czytane:
<http://editio.pl/bestsellery>
- Zamów informacje o nowościach:
<http://editio.pl/novosti>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-4813-4



Cena 34,90 zł